

# KADET

CZASOPISMO KADETÓW KORPUSU KADETÓW Nr 2 W MODLINIE.

## TREŚĆ:

1. Pożegnanie pułkownika Wisznickiego.
2. Staszic a sprawa wojska w latach rozbiorowych.
3. Korpus Kadetów w Kaliszu.
4. Katechizm moralny dla uczniów kadetów (dokończenie).
5. Armja polska w Kijowie.
6. Zagadnienia artylerji przeciwlotniczej.
7. Zarys rozwoju radjotelefonji.
8. Poezje („Ach! Moje lata...” — „Bańki mydlane”. — „Granitowe słowa”. — „Graj mi grajku”. — „Mrzonki”).
9. Manja pisania (humoreska).
10. Leśniczy Knorr (nowela).
11. Rozrywki umysłowe (krzyżówka, przesuwanka, szarada).
12. Odpowiedzi Redakcji.

„Swoboda w myśleniu, karność w działaniu”.  
 Stanisław Szczepanowski.



Pułkownik Wisznicki po powrocie z 700-kilometrowego raid'u.

## POŻEGNANIE PODPULKOWNIKA WISZNICKIEGO.

Dnia 5 lutego opuścił nas ppłk. Wisznicki i zdał, po półtorarocznem dowodzeniu, komendę Korpusu w ręce ppłk. Lipińskiego. Pożegnanie komendanta odbyło się popołudniu na placu rewji, gdzie zgromadziły się wszystkie kompanje kadeckie, oraz oficerowie. Po chwili oczekiwania ukazał się p. pułkownik w towarzystwie adjutanta, odebrał raport przy dźwiękach powitalnego marsza od dowódcy baonu szkolnego ppłk. Bratro i przywitał się kolejno z każdą kompanją, przechodząc przed ich frontem.

Następnie zdał dowództwo ppłk. Lipińskiemu, poczem kompanje uformowały czworobok, by dokładniej słyszeć przemowę pożegnalną. P. pułkownik przemówił do nas w słowach krótkich, lecz tchnących uczuciem, słowach ojcowskich; tych słów p. pułkownika nie zapomnimy nigdy, zostaną one na zawsze w naszych sercach i jak ziarno, zasiane przez siewcę na niwę urodzajną, kiedyś, gdy przyjdzie do czynu, do pracy na niwie społecznej, wydadzą plon stokrotny. Żał ściszał serca nasze na myśl o rozstaniu z Tym, który nam był przez rok cały gwiazdą przewodnią naszych myśli i czynów, który świecił przykładem w naszej pracy codziennej nad kształceniem swej woli i ducha. Nie zapomnimy nigdy sylwetki kochanego dowódcy i Jego pracy nad nami; Jego myśli i dążenia będą ideą przewodnią naszych czynów, będziemy posłuszni tym hasłom, które On wpajał nam w serca i duszę, tym hasłom, które kierowały Nim w pracy nad nami, a przez to złożymy hołd Jego trudom i oddamy przysługę ukochanej naszej Ojczyźnie. Uczucia, jakie żywimy względem p. pułkownika, odbiły się w przemowie naszego kolegi kdt. Jeszkego, który w krótkich, lecz pełnych uczucia słowach, wyraził Mu wdzięczność za tę ofiarę i pełną poświęcenia pracę na stanowisku komendanta korpusu. Po przemowie kdt. Jeszkego delegacja kadecka wręczyła komendantowi pamiątkowy album, a na zakończenie odbyła się defilada.

W dniu 12 lutego opuścił p. pułkownik Modlin. Na dworzec kolejowy odprowadziła go kompanja honorowa, złożona z dwóch najstarszych kompanij, delegacje pozostałych kompanij, oraz korpus oficerski. Na dworcu kolejowym pożegnał nas p. pułkownik w krótkich słowach dziękując nam za serdeczność, jaką okazywaliśmy w stosunku do Niego i pp. wychowawcom za współpracę. Następnie pożegnał się z pp. oficerami i wszedł do wagonu. Chwila oczekiwania. — Gwizdek. — Prezentujemy broń... Pociąg rusza i przy dźwiękach orkiestry przesuwa

się wolno przed nami; widzimy p. pułkownika, jak saltuje nam, stojąc w drzwiach wagonu, wreszcie znikają wagony za wałem fortecznym, a wraz z nimi i sylwetka ukochanego komendanta.

Postać Jego zniknęła z przed oczu naszych, lecz pozostanie na zawsze w głębi naszych dusz, by kierować nadal naszą myślą i czynem. Będziemy się stosowali do tych haseł, które On nam głosił, do tych, które są ideałem Jego życia, a z pewnością wiele dobrego zdziałamy w naszej ukochanej Ojczyźnie; a Ona wdzięczna, z uwielbieniem będzie wspominała imię Tych, którzy Jej takich synów potrafili wychować.

*Kdt. Budziszewski Aleksander.*

## STASZIC, A SPRAWA WOJSKA W LATACH ROZBIOROWYCH.

Pierwszy rozbiór Polski był dla narodu ciosem niespodziewanym. Bezwzględna rzeczywistość tego w dziejach ludzkości niesłychanego faktu, otworzyła dopiero społeczeństwu oczy na straszny stan kraju. Położenie wymagało natychmiastowych reform. Cały szereg wybitnych ludzi, którym beznadziejne zaślepienie narodu i przemoc Rosji działać przedtem nie pozwalały, zaczyna teraz usilnie pracować nad naprawą stosunków istniejących w państwie. Z pośród tych ludzi wyróżnia się znakomity ekonomista, polityk i pisarz społeczny — Stanisław Staszic. Rozumiał on dokładnie groźbę położenia i możliwość dalszych fatalnych następstw przy dotychczasowym stanie rzeczy. Za jedną z głównych przyczyn bezsilności państwa, a stąd i pierwszego rozbioru, uważał on zupełny brak odpowiedniej siły zbrojnej. Aby sobie wyrobić pojęcie o stanie wojska polskiego w owym czasie trzeba się cofnąć do dawniejszych wypadków. Za Augusta II-go na hańbiącym sejmie „Niemym” w roku 1717 przeszła, pod presją Rosji, wygodna dla szlachty uchwała o „Regulaminie regularnej placy”, która redukowałą ilość wojska do 24.000; z tego 18.000 dla Korony, a 6.000 dla Litwy. Cyfra ta, skutkiem powszechnego nieładu, nigdy nie była osiągnięta.

Jak wykazuje urzędowa statystyka z roku 1755, ilość wojska całego wynosiła zaledwie 16.450 ludzi. Jak nierozumna i zgubna była ta uchwała sejmowa, świadczy fakt, że sąsiednie wrogie mocarstwa miały w tym czasie już krociowe armje. Niewielkie Prusy posiadały 80.000 wyborowego żołnierza, gdy tymczasem kilka razy przewyższająca je obszarem Polska była zupełnie bezsilna. Określenie to nie jest przesadzone, a dowodzi tego najlepiej brak jakiegokolwiek oporu lub wysiłku zbrojnego ze strony Polski w czasie pierwszego rozbioru.

Taki stan rzeczy skłonił Staszica do opracowania szeregu wniosków, mających na względzie zmianę stosunków i przedłożenia ich sejmowi delegacyjnemu w roku 1775.

Na pierwszy plan wysunięto sprawę powiększenia ilości wojska do 30.000. Wniosek ten został przyjęty i uchwalony większością głosów. Sposób płacenia żołdu oficerom i żołnierzom t. zw. „porcjami” nie uległ zmianie. Jednostajne umundurowanie żołnierza wprowadzono już za czasów Augusta II-go, a obecnie przyznano wojsku tylko lepsze koszary i porządniejszy ekwipunek. W takim stanie pozostaje siła zbrojna Polski aż do Sejmu czteroletniego, trwającego od 1788 do 1792 roku. Na tym to sejmie zapadła uchwała podniesienia liczby wojska do 100.000. Przeprowadzeniu tej zbawiennej uchwały przeszkadzili niestety służalcy Rosji, wchodzący w skład rządu państwa. Przedłużając wciąż obrady przyczynili się do niewykonania ustawy o wojsku, a stąd dali bezpośredni powód do upadku Rzeczypospolitej.

W chwili rozwiązania się sejmu siła zbrojna Polski liczyła zaledwie 60.000 żołnierzy. Skutki niewykonania uchwały o stutysięcznej armji okazały się już w wojnie z Rosją przed drugim rozbiorem. Uszczuplona przez pozostawienie w miastach licznych załóg, siła bojowa polska liczyła 35.000 żołnierzy i tę podzielono jeszcze na dwie grupy. Mimo bohaterskich wysiłków musiały obie armje ulec przeważającej sile wroga.

Na sejmie grodzieńskim, zatwierdzającym drugi rozbiór, w roku 1793, zmniejszono wojsko do 15.000! — Nadchodzą czasy Księstwa Warszawskiego. Już na pierwszym sejmie w roku 1809 Staszic, w poczuciu obowiązku obywatelskiego, zwraca uwagę zebranych posłom na najważniejsze i nie znoszące zwłoki sprawy. Nawołuje do utworzenia zastrzeżonej konstytucją 30-tysięcznej armji i do obmyślenia środków na jej utrzymanie. Przekonuje sejm, że od jego uchwał zależą dalsze losy kraju i społeczeństwa, że jest to jedyny moment, w którym można mądrymi i zbawiennymi ustawami zmyć z narodu hańbę rozbiorów, i w ten sposób ocalić honor i sławę Polaków. Nawoływania Staszica odniosły skutek. Na następnem posiedzeniu uchwalono nałożenie nowych podatków, potrzebnych na utworzenie wojska. Powstała armja, a że nie był daremny wysiłek społeczeństwa, świadczą zwycięstwa, jakie odtąd towarzyszą wojskom polskim pod dowództwem ks. Józefa Poniatowskiego i gen. Dąbrowskiego.

Przypatrzmy się teraz poglądom Staszica na wychowanie przyszłych obywateli w duchu wojskowym, oraz udziałowi jego w sprawach, dotyczących wojska. „Szkoła obywatela ma być szkołą rycerza”, oto, zdaniem Staszica, nieodzowna cecha każdej szkoły wolnego państwa. Staszic uważał za konieczne wprowadzenie do szkół niższych musztry

i innych ćwiczeń wojskowych. W szkołach wyższych polecał naukę taktyki, oraz teoretyczne, poparte praktyką, wykłady o budowaniu, bronieniu i zdobywaniu twierdz. Ponadto twierdził on, że nie powinno się zezwalać na wyjazd zagranicę młodzieńcowi, który służby w wojsku polskiem jeszcze nie odbył. Chroniczną wadą państwa, o którą, jak o tamę, rozbijały się niejednokrotnie pożyteczne uchwały sejmów, był brak zasobnego skarbu. Przyczyna leżała w nieumiejętnej i rozrzutnej gospodarce finansowej. Pieniądze, wpływające z podatków, przeznaczano w sumach niesłychanych na cele podrzędne, a pozatem przyczyniały się też do tego nieładu nienormalne stosunki, panujące w wojsku.

Statystyka, robiona w owym czasie, wskazuje, że na trzech żołnierzy przypadał jeden oficer! Prusy w tym samym czasie mają na 70 żołnierzy 1 oficera.

Większa część winy leżała też w samym społeczeństwie. Szlachta, wyrzucająca 120 milionów rocznie na zbytkowne i błyskotliwe życie, nie uważa za potrzebne wnosić podatków na wojsko.

Zato sąsiednie państwa, prowadzące oszczędną i rozumną politykę finansową, są w stanie utrzymywać świetnie wyekwipowane, krociove armje. Przykładem są Prusy, mające w ciągłym pogotowiu 200 tysięcy doskonałego żołnierza. Brak funduszków stanął też na drodze sejmowi z r. 1809 przy przeprowadzaniu ustawy o zwiększeniu ilości wojska.

Tu znowu Staszic wysunął projekt wprowadzenia nowych podatków, oraz szeregu oszczędności w pewnych kierunkach. Był on mianowicie zdania, że rozwój racjonalnej gospodarki rolnej przyczyni się najwięcej do wzmożenia dochodów skarbu, którego zasobność była konieczna. Już bowiem ówczesny sposób prowadzenia wojny, czy to zaczepnej, czy też obronnej, wymagał ogromnych kosztów, a utrzymanie wojska stanowiło dużą część budżetu każdego państwa. Za drugi sposób powiększenia zasobów skarbu, uważa Staszic odebranie wszelkich „donacyj”, które królowie polscy niegdyś poczynili, rozdając różnym zasłużonym ludziom, w formie nagród, tytuły, urzędy i związane z tem ziemie. Długoletnie dochody z tych włości dostatecznie wynagrodziły dziedziczącym je pokoleniom zasługi położone przez ich przodków. Za trzeci wreszcie, ale najważniejszy sposób, uważa on jak najczynniejszy udział całego narodu w akcji tworzenia wojska.

„Niechaj nikt się nie uchyla od płacenia podatków, bo od celu, na który one idą, zależy bezpieczeństwo ogółu i dobro naszej Ojczyzny!”

Apeluje więc Staszic do społeczeństwa, aby zrozumiało konieczność utrzymywania siły zbrojnej. „Si vis pacem, para bellum”, — „pragniesz pokoju, gotuj się do wojny”, oto hasło, którem wzywa on naród do ofiarności na rzecz armji. Przedstawia też ogółowi jasno, że Polska posiada wszelkie warunki potrzebne do utworzenia wojska.

Jako przykład, jak dobrym materiałem na żołnierza jest chłop polski, przytacza fakt, że w armji pruskiej wyróżnia się on posłuszeństwem, doskonałą postawą i męstwem. Jako jeden z nadzwyczaj łatwych sposobów utrzymania siły zbrojnej, podaje Staszic podział ziemi z odebranych „donacyj” między chłopów, pod warunkiem, że każdy z nich zobowiąże się dostarczyć po jednym żołnierzu, z każdej posiadanej przez niego działki. Pozatem każdy chłop, osiadły na tej ziemi, obowiązany będzie raz na tydzień chodzić na musztrę. Koszta ekwipunku tych ludzi mają ponosić miasta. Urzędy podstarościch i komisarzy obejmą zawodowi oficerowie, którzy ćwiczenia prowadzić będą. W ten sposób można będzie uzyskać pewnego rodzaju gotowość bojową całego narodu.

Podane powyżej szczegóły zaledwie w drobnej części wykazują ogrom zasług położonych przez Staszica w sprawie utworzenia wojska. Nie każdy naród może się poszczycić posiadaniem takiej miary ludzi, jak Staszic. Ogromna przedsiębiorczość, niewyczerpana energia, wytrwałość w dążeniu do celu, oraz nieskazitelność duszy i gorąca miłość Ojczyzny—oto cechy tego człowieka, zasługującego na miano „wielkiego”. Wiekopomne czyny, oraz hasła ogólnoludzkie, które głosił, naprawdę pokazały Europie, że, mimo rozbioru i upadku kraju, duch polski, a stąd i naród cały, nie zginął.

Duch ten, przechowywany w piersiach wiernych synów Ojczyzny, czekał tylko odpowiedniej chwili, by, wyrwawszy się z pęt niewoli, ulecieć podniebnym szlakiem ku słońcu wolności!

*Kdt. Łubiński Henryk.*

---

## KORPUS KADETÓW W KALISZU.

Po drugim rozbiorze Polski Fryderyk Wilhelm II rozkazał otworzyć korpus kadetów na wzór istniejącego już korpusu w Chełmnie. Celem tego korpusu miała być germanizacja młodzieży. Gmachem odpowiednim dla takiej szkoły, jak korpus, był dawny gmach pojezuicki w Kaliszu. Trzeba go było tylko przystosować do potrzeb korpusu i na ten to cel ministerstwo wojny wyasygnowało 26.000 talarów. Już w październiku tego roku (1793) oficer berlińskiego korpusu kadetów major Schack, został wysłany wraz z dwoma budowniczymi do Kalisza w celu obejrzenia gmachu. Koszta naprawy budynków wyniosły 75.000 talarów, a dopełnienie tej sumy miał pokryć kraj. W dwa lata później roboty postąpiły do tego stopnia, że można było przyjąć dwunastu kadetów. W roku 1797 został zatwierdzony etat korpusu i warunki przyjęcia. Kadetów miało być stu, personel zaś składał się z oficera sztabowego, dyrektora nauk (rządcy korpusu), dwóch kapitanów,

dwunastu wychowawców, dwóch nauczycieli języka francuskiego, dwóch niemieckiego, nauczyciela tańców, doktora, kwatermistrza, komisarza, trzech sierżantów i służby. Przyjmowano do korpusu tylko dzieci szlacheckie z południowych dzielnic Prus. Nauka w korpusie kaliskim trwała dwa lata. W ciągu tego czasu kadeci uczyli się historii Brandenburgii, historii naturalnej, arytmetyki i geografii, aby następnie przejść do korpusu berlińskiego, który swoim wychowankom dawał stopnie oficerskie. Nie uczono ich tylko religii i języka polskiego. W roku 1797 wprowadzono pewne zmiany, a mianowicie pozwolono przyjmować do korpusu chłopców, zamieszkujących północno-wschodnie części Prus i wprowadzono, jako przedmiot wykładowy, początki fortyfikacji i rysunki wojskowe. W roku 1804 stan korpusu osiągnął liczbę stu dwudziestu pięciu. Trzeba zaznaczyć, że do korpusu kaliskiego przyjmowano dzieci w wieku od lat sześciu do dziesięciu, bez znajomości czytania i pisania.

Po utworzeniu ks. Warszawskiego korpusy chełmiński i kaliski przeszły pod władzę Komisji Rządzącej, a ta powierzyła opiekę nad nimi Stanisławowi Potockiemu, prezesowi Izby Edukacyjnej, dawnemu generałowi artylerji. Od tego czasu poziom moralny i naukowy kadetów bardzo się podniósł, a to dzięki zmianom, które wprowadził Potocki. Główny nacisk kładł on na wychowanie kadetów w duchu religii i miłości Ojczyzny.

Pracował on w tym czasie nad katechizmem kadeckim, opartym na zasadach katechizmu moralnego dla uczniów korpusu kadetów, ułożonego przez ks. Czartoryskiego. Każdej soboty mieli wychowawcy odczytywać i tłumaczyć kadetom myśli zawarte w katechizmie. Etat korpusu został zmieniony. Liczbę kadetów zmniejszono do 80. Nie przyniosło to szkody wychowankom, przeciwnie osiągnięto korzyść, gdyż kadetów pochodzenia niemieckiego odesłano do korpusu berlińskiego. Skutkiem tego Polacy byli pozbawieni złego wpływu wrogo usposobionych Niemców.

Skład personelu uległ zmianom. W r. 1810 rozszerzono zakres nauk i lata pobytu do sześciu, poczem wychowankowie otrzymywali stopnie oficerskie. Zmieniono także złą ustawę niemiecką, mocą której kadet mógł powtarzać jedną klasę sześć razy. Obecnie ograniczono to prawo do trzech lat.

Z chwilą wprowadzenia rządów polskich, prawo kształcenia dzieci w korpusie mieli obywatele wszystkich stanów, jednak pierwszeństwo nauki na koszt rządowy mieli synowie zasłużonych wojskowych, od nowowstępujących żądano znajomości czytania i pisania, oraz czterech działań. Wiek był określony od 10 do 16 lat. Chcąc zaś dać możliwość kształcenia się większej liczbie młodzieży, Potocki ustanowił 24 miejsca

płatne. Broni na razie kadeci nie mieli. Znalezione więc przypadkowo karabinki kawaleryjskie oddano do użytku korpusowi. Jednak, kiedy nadszedł rok 1809, a z nim wojna austriacka, karabinki te korpus był zmuszony oddać tworzącemu się w departamencie kaliskim pułkowi strzelców konnych. Stratę tę powetowało społeczeństwo, ofiarowując korpusowi 100 sztuk karabinów. Była to broń przerabiana, z dorabianymi lufami, lecz, jak pisze Podczaski, ówczesny komendant korpusu „szacowna, jako dobrowolny upominek obywateli”.

Mundur kadecki przez długi czas nie był ustanowiony. Używano mundurów pruskich. Dopiero w r. 1809 został zatwierdzony krój i barwa jego. Składał się mundur z kurtki granatowej z ponsowemi wyłogami, spodni białych, białej kamizelki i czaka, przybranego dwoma kordonami, orłem srebrnym, pomponem i kokardą. Ustanowiony został także mundur dla oficerów i wychowawców korpusowych.

Chcąc wzbudzić w wychowankach szlachetne współzawodnictwo, a jak sam mówił „wzniecić w sercach młodzi rycerskiej, do usług Ojczyzny sposobiącą się, szlachetną emulację”, ustanowił Potocki w r. 1809 nagrody i kary. Nagród było trzy: orzełek złoty, jako nagroda najwyższa, orzełek srebrny i wieniec srebrny; rozdawano je po egzaminach. Wszystkie te odznaki były noszone na lewym boku na zielonej wstążce, przyczem nadać można było najwyżej dwa złote orzełki, cztery srebrne, oraz sześć wieńców srebrnych. Prócz tego w sali korpusowej były zawieszane cztery tablice: biała, niebieska, szara i czarna. Na tablicach tych umieszczano nazwiska kadetów według ich postępów, a więc na pierwszej tych, którzy otrzymali pierwszą nagrodę, na drugiej tych, którzy otrzymali orzełka srebrnego lub wieniec, na trzeciej nazwiska uczni miernych, zaś na czwartej nazwiska złych kadetów. Jeśli z korpusu odchodził wzorowy kadet, pożegnanie jego odbywało się bardzo uroczyście w obecności komendanta korpusu, wszystkich wychowawców i uczniów. Komendant żegnał go przemową, w której pobudzał go do poświęcenia się dla dobra Ojczyzny, następnie każdy kadet żegnał go słowami: „Pamiętaj żeś miał honor być kadetem, żyj i umieraj dla Króla i Ojczyzny”.

Jeżeli zaś komendant był zmuszony wydalic kadeta, nazwisko jego było zapisane na czarnej tablicy, którą w dniu jego odejścia okrywano czarną krepą.

Korpus kadetów nie był szkołą czysto wojskową. W pierwszym rządzie chciano wychować dobrego obywatela, to też w r. 1810 zezwoliły władze, aby wychowankowie korpusu wstępowali do służby cywilnej. Jednak duży odsetek szedł do wojska, bo w latach 1808 — 1813 opuściło korpus około 70 oficerów jazdy i piechoty.



W roku 1813, kiedy wojska nieprzyjacielskie wkroczyły w granice Ks. Warszawskiego, komenda korpusu była zmuszona odesłać połowę kadetów do domu z powodu braku funduszy na utrzymanie, ale już w następnym roku, dzięki ofiarności społeczeństwa, które zrozumiało potrzebę istnienia szkoły wojskowej, korpus mógł pracować spokojnie nad wykształceniem oficerów, których myślą przewodnią całego życia był honor i dobro Ojczyzny.

Późniejsze dzieje korpusu łączą się z historją Królestwa Kongresowego, za którego czasów przeszedł korpus pod wyłączny zarząd Komisji Rządowej Wojny, kończą się wraz z upadkiem powstania listopadowego. Wielu wychowanków, biorących udział w tem powstaniu, krwią swoją, hojnie przelaną, dowiodło, że idee, zaszczone w ich duszach, wydały plon obfity.

*Kdt. Szpak Napoleon.*

## KATECHIZM MORALNY DLA UCZNIÓW KADETÓW.

(Dokończenie).

P. Czy przystoją kadetowi bojaźliwość lub tchóchostwo?

O. Na to nie umiem odpowiedzieć, bo i słowo i rzeczy, które znaczą, są mi nieznanym, i jeżeli kto w Korpusie potrafi opisać co to jest, chyba by o tem słyszał, że się gdzieindziej znajduje, bo co między nami, ani jest, ani podobno być może.

P. Z jakich przyczyn bojaźliwość i tchórzostwo jest przywarą?

O. Z tych najbardziej: ponieważ *p r i m o* być może powodem do zezwolenia na wiele rzeczy szkodliwych, którym przez zastraszenie człek bojaźliwy oprzeć się nie śmie; ponieważ *s e c u n d o* jest tamą do rozpoczęcia rzeczy wielu i imprez pożytecznych, skoro się z cieniem jakiegokolwiek łączą niebezpieczeństwa; źródłem tego tak szkodliwego czucia często jest zniewieściałość. Cnotliwy obywatel hartować i umysł i ciało powinien, żeby mężnie mógł krajowi swemu służyć i nie obumierać z myśli tylko, czyli bólu, czyli rany najletszej. Bojaźliwość częstokroć ten wydaje skutek, że człeka pocziwego z natury skłania nieraz do akcyi niepocziwych, dla uniknienia zwady i dla ochronienia siebie.

P. Czy dosyć jest na tem być szlachetnie urodzonym?

O. Pewnie, że nie dosyć: urodzenie z cnotą i z przymiotami złączone najpierwszym jest zaszczytem. Szlachectwo zaś bez cnot i przymiotów ustawnym jest zarzutem. Jako szlachcic pocziwy, mężny, dobroczynny, litościwy największego wart szacunku, tak najpodlejszem jest stworzeniem szlachcic niepocziwy, dumny, prze-

wrotny, okrutny, nielitościwy; chełpić się z szlachectwa lub gardzić tymi, którzy szlachtą się nie urodzili, a osobliwie wyrzucić im to na oczy, ostatnią jest podłością. Wbijać należy sobie w umysł tę sentencję: *et genus et proavos, et quae non fecimus ipsi, vix ea nostra puto.*

P. Do czego najbardziej stosować powinien Kadet zabawki swoje?

O. Do sztuk wojennych; dlatego niech się wprawuje w rącość w bieganiu z kolegami do mety; niech się kocha w ryszfunkach wojennych; koniem niech toczyć lubi; słowem, niech pamięta, że wojowniczy ród dziadów naszych nie spodziewał się wydać plemię niewieścuchów, którzy zalegając pole, sławę i kraj stracili.

P. Czy może co ekskuzować Kadeta, kiedy szpetnymi słowami łaje i lży?

O. Nic nie może być tego nałogu ekskuza; lżyć bowiem równego sobie, wyciągnąć go na wzajemną w takim guście odpowiedź, jest to mazać siebie i powieścią i odpowiedzią, jest to wyznanie złej bardzo edukacji; lżyć nierównego sobie jest równą podłością, jak bezbronnego uderzyć, ponieważ zelżony o krzywdę swoją dopominać się nie może; napaść zaś gromadą na jednego, uderzyć choć we dwóch na jednego, nie przyjść na ratunek jednemu od dwóch oprymowanemu, ostatnią byłoby hanba; czego ani Kadet żaden pozwalać sobie nie ma, i owszem mieć to sobie każdy za punkt honoru, żeby kolegom nie pozwalał i o to ich strofował.

P. Czy godzi się podsłuchiwać, kiedy dwie osoby cicho mówią, list cudzy, choć sobie powierzony, odpieczętować, papiery leżące na stole cudzym czytać, zaglądać przez ramię, kiedy kto czyta papier jaki lub pisze?

O. Nie godzi się *p e r - o m n i a*, jest to podłość wielka pozwalać sobie którąkolwiek z rzeczy wżwyż wzmiankowanych; jest to zdrada, którą zacny umysł brzydzić się powinien.

P. Czy przystojna jest rzecz dla kadeta miany robić, szachrować fanty, suknie, bieliznę, kapelusze, szpady?

O. Jest to rzecz nieprzystojna, bo rzadko to się bez czyjej szkody obejdzie. Człęk młody, od drobnych zaczynając rzeczy, wprawia się w ten umysł szachrowania, który potem w dalszem życia biegu rozwalnia sumienie w interesach większej wagi, i często ten młodzian, któremu podchlebia zaleta, że jest chłopcem obrotnym, z chłopca wyszedłszy, żyje i umiera z reputacją starego szalbierza. Nie trzeba ani chcieć oszukać, ani też trzeba dać się oszukać. Co się tu mówi o mianach, rozumieć się ma równie o pożyczaniu pieniędzy, których nigdy pożyczać nie godzi się, chyba z pewnością, że one rzetelnie i w czas oddać można; bo kto pożyczca, wiedząc dowodnie, że nie jest

w stanie oddania, kradzież pełni, i tym niebezpieczniejszym jest złodziejem, że ustrzedz się go trudno.

P. Czy może jakimkolwiek sposobem ująć wnioskowi nieuczciwości ten, co się stara polepszać stan swój, przez facyendy, lub też przez szulerstwo?

O. Nie może żadnym sposobem: bo te dwa gościńce do szczęścia, są to bite gościńce szalbierstwa i oszukania. Dla duszy uczciwej najlepsza supozycja, najlepsze podejrzenie winy w tem zdarzeniu, równa się istocie winy i plami charakter; nie masz tworu nikczemniejszego, ani też bardziej wartego wzdargdy, jak facyendarz i kartownik. Ktokolwiek na sobie przemódz może, żeby był lub jedynym lub drugim, daje prawo rozumienia o sobie, że niema tej niegodziwości, którejby się nie dopuścił. Niech się nikt próżno nie mami tym wybiegiem, niech nie mieni, że swoją poczciwość ochroni, gdy sam przez się nie grając, w motye się złoży z szulerem albo z facyendarzem; ekskuzować go to nie potrafi, przed sądem publiczności i własnego sumienia. Być współnikiem albo sprawcą sromotnego uczynku, różnicy w tem nie masz; oszust i szalbierz, to jest facyendarz i kartownik, łączą w sobie podłość, zdradę i znieważenie tych wszystkich względów, które człowieka uspasabiają od powszechnego szacunku".



## ARMJA POLSKA W KIJOWIE.

W głównem mieście Ukrainy panował pozorny spokój. Zdawało się, że usposobienie mieszkańców harmonizuje z piękną pogodą, przy której przyroda Kijowa zdaje się być żywą. To właśnie wpływało na ludność kojąco. Każdy jakgdyby zapomniał, że czerwony terror Żydów, przywódców bolszewików, może go porwać i rzucić do lochów „czwyczajki”, a stamtąd mało kto się wydostanie. Doskonale świadczyły o tem listy rozstrzelanych, ogłaszane codzień w gazetach.

Ale przyroda umiała dać przynajmniej chwilowy spokój zmiennemu w oczekiwaniu złego lub dobrego mieszkańcowi miasta, nad którym, zdawałoby się, ciążyła kara Boska.

Jednak to trwało niedługo. Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, dał się słyszeć głuchy oddźwięk strzału armatniego. Po pierwszym nastąpił drugi, trzeci — wreszcie poszczególne wybuchy zamieniły się w stały huk. Pogodny nastrój miasta zginął w jednej chwili. Cały Kijów wyległ na ulicę. Tu i owdzie stały grupy przechodniów, którzy robili najdziwniejsze przypuszczenia co do pochodzenia strzałów. Nikt bowiem nie wiedział, że armja polska prowadzi ofensywę na Bolszewję. Co prawda, kursowały liczne pogłoski co do zbliżania się wybawców, jednak było ich tyle i tak nieprawdopodobnych, że nie dawano im już wiary. Mimo wszystko ludność burzyła się. Z jednej strony nadzieja wydostania się z pod jarzma gnębieli cieszyła wszystkich, z drugiej zaś bojaźń przed bombardowaniem, lub co gorsza, presją, jakąby bolszewicy wywarli na niewinnej ludności, doprowadzała niektórych do rozpacz. Odgłos strzałów trwał zaledwie pół godziny i zapanowała ponowna cisza, wprowadzając w błąd mieszkańców, którzy nie wiedzieli, kto wygrał walkę, której echo słyszeli. Czyżby bolszewicy? Nie, musiał zwyciężyć wybawca, albowiem z nim był Bóg i wszystkie serca! Pozostawało ufać i czekać.

Przez dwa następne tygodnie pozornie nic się nie zmieniło, bolszewicy okazywali wielką pewność siebie. Potwierdzały to gazety, stale donoszące o zwycięstwach czerwonej armji. Jednak mimo licznych wygranych walk, na Dnieprze panował ruch — co chwila odchodziły naładowane statki, a pobraże roiło się od ludzi i koni, widać było paki najrozmaitszych rozmiarów i kształtu. Ewakuacja! W zasadzie niczem nie różniący się od innych wyraz sprawiał elektryzujące wrażenie. Pierwsi spostrzegli to, spacerujący na „Włodzimierzowskiej Górze” kijowianie i chociaż stamtąd otwierała się piękna perspektywa, czy to na wysepkę, znajdującą się między Dnieprem a jego odnogą, czy to na niższą część miasta, czy wreszcie na samą rzekę, woleli godzinami przyglądać się odchodzącym parowcom, gdyż zdawało się im, że od prędkiego ładowania zależy odwrót czerwonogwardzistów.

A więc ucieczka bolszewików jest tylko kwestją czasu! Że zaś stanie się to niedługo, upewniły nieprzyjacielskie samoloty, ukazujące ię coraz częściej nad miastem i niejednokrotnie rzucające pociski wraz z proklamacjami. Na te lecące w powietrzu paczki papieru rzucała się iekawa ludność i z nich się dopiero dowiedziała, że wybawcami jej będą Polacy. Najbardziej zagorzali szowiniści rosyjscy twierdzili teraz, że to jest właśnie najdogodniejsza chwila do zawiązania z Polską trwałej przyjaźni. Zbliżanie polskiej armji, rozumie się, odczuła najmocniej kolonja polska, z której starcy tylko o jedno prosili Boga, aby pozwolił im przynajmniej zobaczyć polskie, niepodległe i do tego zwycięskie wojsko. I starcy ci przeważnie doczekali się upragnionego

dnia, ale za to większości Polaków, przed którymi było jeszcze całe życie, nie sądzono było zaspokoić swe marzenia. Na nich bolszewicy wywarli całą złość, katując w czerezwyczajce i wywoząc, jako zakładników.

Polacy weszli do Kijowa 7-go maja, a już tydzień przedtem „zwycięska” czerwona armja była po drugiej stronie Dniepru. Bali się spóźnić!

Pierwszy ukazał się w mieście podjazd ułanów. Każdy był ciekaw ubioru i wyglądu, jednak obejrzeć ich mogli tylko mieszkańcy przedmieści, gdyż przez drogę tak ich obsypano kwiatami, że wyglądali, jak kwiaciarki i jedynie mieniąca się na słońcu szabla, oraz proporczyk lancy, wskazywały, że to są wojacy.

Cały dzień przechodziła piechota i artylerja, witana radosnemi okrzykami. Każdy, kto miał moc w nogach, chodził po całym mieście chcąc napić swe oczy dziarskimi minami i wojowniczymi postawami polskich żołnierzy.

Tłumy również wypełniały podwórze czerezwyczajki, każdy bowiem chciał widzieć do jakiego stopnia dochodziło okrucieństwo komunistów. Lecz zwiedzić dokładnie wszystkie zabudowania było niepodobieństwem. Nerwy krzyczały: precz stąd! Rzeczywiście widok był straszny. Rozkładające się i jeszcze nieuprzątnięte trupy, porozrzucane były, jak krwawe szmaty, z porozkopywanych jam wyciągano jeszcze żyjące istoty (tak, istoty, bo już nie ludzi!), które wydawały straszne jęki; świeżo rozpryskana krew nielitościwie przypominała, że przed paru godzinami przechodzili nieludzkie katusze ci, którzy teraz przedstawiali nieforemną masę. Nic też dziwnego, iż kobiety nie wytrzymały tak silnego napięcia nerwów i od czasu do czasu dawał się słyszeć spazmatyczny krzyk. Mężczyźni zachowywali się nadzwyczaj burzliwie. Chciano bić sprawców tych nieszczęść, a nie miano kogo. Bezzwzględnie wywarliby swą złość na Żydach, jednak ci pochowali się zawczasu. Lecz okazja zdarzyła się: jeden z przybywających, chcąc zwrócić uwagę drugiego krzyknął: „towariszcz”. Wszyscy, jakby na komendę, rzucili się ku niemu; dały się słyszeć urywane wyrazy: „my nie towarzysze”, „to nie Bolszewja”. Laski i pięści zamigotały w powietrzu i niebaczny padł na ziemię, nie zdążywszy wyrzec ani słowa. Żądza zemsty była zaspokojona i tłum z lekkim sercem wyległ na ulicę. Tu panował ruch. Wszyscy biegli w kierunku ratusza, gdyż tam ponad głowami tłumu migotały proporczyki i słyhać było miarowy tętent kopyt końskich. Wchodziła do miasta kawalerja, jakkolwiek nie z czasów Skrzetuskiego i Kmicica, ale ta kawalerja, która pokazała, że jeszcze rola konnicy na wojnie nie skończyła się i że ona umie zwyciężać tak, jak to robili ich przod-

kowe. Wszystkie czapki wyleciały w górę i potężny okrzyk: „niech żyje polska kawalerja” podniósł się z tłumu i trwał długo, długo...

Nastaly czasy spokoju. Wszyscy byli zadowoleni; nikt nie był zmuszony troszczyć się o jutro i nie potrzebował chować się przed bandytami-czerwonogwardzistami. Nawet stale szemrzący Żydzi wychwalali polskich oficerów za to, że ich nie pozwolili bić, rozeszła się bowiem wieść, że dwóch żołnierzy rozstrzelano za chęć urządzenia pogromu.

Niedługo jednak cieszył się Kijów błogim spokojem. W połowie czerwca znów słyhać było strzały, ale tym razem z za Dniepru. Niepokój zapanował w mieście, nikt nie chciał wierzyć, iż Polacy ustąpią. Dopiero wypadki najbliższych dni rozstrzygnęły niepewność. Armja polska rozpoczęła odwrót.

Z jakimże smutkiem odprowadzali swoich wybawców i z jakim strachem oczekiwali powrotu komisarzy ci, którzy nie mogli opuścić miasta wraz z armją polską!

I znów w mieście ukazały się grupy „czerwonych”, biorąc się z miejsca do rabunku. Nocy tej mało kto zmrzył oczy. Cały czas chodziły patrole, zabierając podejrzanych do czerezwyczajki lub mordując tych, którzy nie wzbudzali zaufania.

Nastaly znów ciężkie dnie, wszelka nadzieja na ratunek zgasła!

*Kdt. Rabczewski Wacław.*



## ZAGADNIENIE ARTYLERJI PRZECIWLOTNICZEJ.

W dobie obecnej najbardziej aktualną jest kwestja lotnictwa. Co dzień prawie slyszymy o nowych wynalazkach i udoskonaleniach w tej dziedzinie. Wszystkie państwa cywilizowane ubiegają się wedle sił swych i możliwości o pierwszeństwo na tem polu. Postęp rozwoju lotnictwa jest tak niezwykły, iż śmiało twierdzić możemy, że w wojnie przyszłości zajmie ono stanowisko dominujące. Tymczasem zaniedbana jest prawie zupełnie kwestja obrony przeciwlotniczej z ziemi, która jest przeciez sprawą niezmiernie ważną. Niezawsze bowiem jest możliwe użycie własnego lotnictwa dla zwalczania eskadr powietrznych nieprzyjaciela. Istnieje szereg środków obrony przeciwlotniczej z ziemi. Są nimi:

1) maskowanie, jak np. budowanie sztucznych dworców kolejowych, nakrywanie kanałów i t. d.,

2) zasłony dymowe, utrudniające orientację,

3) balony na uwięzi. Ustawiane na wysokości 2 do 3.000 metrów bronią one od napadów nocnych, bowiem aparaty nieprzyjacielskie, lecąc na oślep, wpadają na nie. Zderzenia takie nie tyle niszczą aparaty, ile działają ujemnie na system nerwowy lotnika. Stosowano takie balony przy obronie Paryża w latach 1914—17. Lecz wszystkie te środki są o tyle kosztowne, o ile mało skuteczne.

Najważniejszym czynnikiem obrony przeciwlotniczej z ziemi jest bezsprzecznie artylerja przeciwlotnicza, wspomagana przez c. k. m., aparaty podsłuchowe i reflektory. Artylerja przeciwlotnicza, jako taka, datuje swe istnienie od wojny światowej, kiedy to masowe użycie lotnictwa zmusiło strony walczące do stworzenia oddziałów artylerji, przystosowanej do zwalczania samolotów, przez zaopatrzenie w odpowiedni sprzęt bojowy, przyrządy optyczne i odpowiednio wyszkoloną obsługę. Już nawet przed wojną czynione były próby zbudowania armaty przeciwlotniczej (w r. 1910 Krupp). Jednakże usiłowania te nie dały oczekiwanych wyników. Na początku wojny stosowano rozmaite sposoby ustawiania dział polowych dla walki z płatowcami.

W armji rosyjskiej np. stosowano ustawienie dział polowych na odpowiednio skonstruowanych, ruchomych podstawach z kłód drewnianych.

Przy podobnem ustawieniu skuteczność ognia była naturalnie minimalna. Pod koniec dopiero wojny światowej problem obrony przeciwlotniczej z ziemi został rozwiązany mniej lub więcej udanie przez utworzenie specjalnych oddziałów artylerji przeciwlotniczej, które zastosowano możliwie najlepiej do stawianych im wymagań.

Rozpatrzmy pokrótce zadania, które ma przed sobą artylerja przeciwlotnicza.

Powinna ona: 1) powstrzymać płatowce nieprzyjacielskie tak zwiadowcze, jak kierujące ogniem artylerji i niszczycielskie, a przynajmniej przeszkadzać im w pracy; 2) wspierać własne płatowce w walce, bądź to rażąc nieprzyjacielskie aparaty ogniem, bądź też wskazując na niezauważonego jeszcze przez własnych lotników nieprzyjaciela strzałami, przyczem bądź tworzy się pas ognia pomiędzy płatowcami swojemi a nieprzyjacielskimi, bądź też wskazuje się tylko ogólny kierunek położenia nieprzyjacielskich aparatów zapomocą dwóch strzałów. Należy przytem brać pod uwagę czas lotu pocisku i prędkość samolotów, ażeby nie uszkodzić aparatów własnych; 3) obronić balony na uwięzi, przez zawczasu przygotowany ogień zaporowy, otwierany natychmiast po zjawieniu się płatowców;

(obrona ta nie zawsze bywa skuteczna, trudno bowiem przewidzieć, skąd nieprzyjaciel przypuści atak); 4) bronić szczególnie ważnych punktów, jak stanowisk rezerw, składów, węzłów kolejowych i t. d.; 5) niszczyć płatowce nieprzyjacielskie, przyczem zadanie to stawia się na ostatnim planie. Głównym bowiem celem artylerji przeciwlotniczej jest pokrzyżowanie planów lotnictwa nieprzyjacielskiego i stworzenie warunków, uniemożliwiających mu pracę; 6) zawiadomiać dowództwo o każdym ukazaniu się sił powietrznych nieprzyjaciela i ich ewentualnych zamiarach, gdyż zazwyczaj ukazanie się dużych formacyj powietrznych poprzedza operacje wojenne. Płatowce bowiem bądź to badają teren i przygotowują atak, bądź też maskują własne przesunięcia, absorbując sobą uwagę nieprzyjaciela.

Teraz parę słów o organizacji artylerji przeciwlotniczej. Wspomnę tu tylko o organizacji jej w armji angielskiej, która pierwsza wprowadziła w życie ten rodzaj broni.

Przy każdej armji istniał szef obrony przeciwlotniczej, pod którego dowództwem znajdowała się pewna liczba baterij, przydzielanych do armji wedle potrzeby i zasobów, tak, że ilość tych baterij w armji nigdy nie była stała. Baterje takie były przydzielane taktycznie do armji, administracyjnie zaś do korpusu. Baterja liczyła 4 — 5 plutonów po dwa działa. Dywizjon ogółem liczył 100 — 200 wozów i około 80 motocyklów.

Sprzęt artylerji przeciwlotniczej angielskiej stanowiła przeważnie zmontowana na lorze samochodowej armata szybkostrzelna 3" (kaliber 76,2 mm) o ciężarze 450 klg. i szybkości wylotowej 600 m na sek. Była również w użyciu pewna ilość dział o mniejszym kalibrze. Pozycje poszczególnych plutonów artylerji przeciwlotniczej w wojnie pozycyjnej wyznaczało dowództwo w porozumieniu z inspektorem artylerji. Wogóle kierowano się przy obiorze pozycji zasadą, która polegała na pokryciu pewnych odcinków ogniem conajmniej dwóch plutonów. W wypadku wojny ruchowej wyznaczano poszczególnym baterjom odcinki, na których dowódca baterji manewrował wedle własnego uznania i za bezpieczeństwo których odpowiadał.

Ważną rolę również odgrywa zamaskowanie dział. Skuteczność obioru pozycji i zamaskowania musi sprawdzić lotnictwo własne. Skutecznem okazuje się czasem wysunięcie naprzód pojedynczych, dobrze zamaskowanych dział. Ażeby działanie artylerji przeciwlotniczej dało dobre wyniki, musi istnieć ścisła łączność pomiędzy plutonami, baterjami, dywizjonami, sztabem armji i swoją eskadrą lotniczą. Jak wyżej bowiem było wspomniane, muszą poszczególne plutony niezwłocznie meldować o ukazaniu się aparatów nieprzyjacielskich, a wiadomość ta musi być rozesłana jak najszybciej.



Po krótkim omówieniu zadania, organizacji i sprzętu artylerji przeciwlotniczej sędzę, że nie będzie zbyteczne powiedzieć słów parę o sposobach jej strzelania.

Metody bowiem strzelania artylerji przeciwlotniczej różnią się bardzo od metod strzelania innych typów artylerji. Przedewszystkiem odległość w metrach reguluje się przez odległość zapalnika. Odległością zapalnika nazywamy tę odległość od działa, w jakiej pocisk wybucha przy pewnem określonym nastawieniu zapalnika. Odległość ta nie jest wielkością stałą, gdyż szereg zapalników o jednakowem nastawieniu nigdy nie pali się przez ten sam odstęp czasu. Skutkiem tego celowniki dział muszą być skalowane w odległościach zapalnika, ażeby przez automatyczną elewację lufy uzyskać rozprysk na linii położenia, to jest linii, łączącej środek lufy z podstawą celu. Zapalniki takie muszą być zawczasu nastawione na pewne określone odległości i odpowiednio zgrupowane w skrzynkach, a to dlatego, żeby nie wprowadzać zwłoki w strzelaniu. Odległość zapalnika określa się zawsze dwiema wielkościami: odległością celu i kątem położenia, t. j. kątem, zawartym między linią poziomą a linią celu, który to kąt bardzo łatwo daje się obliczyć, a więc główną rolę odgrywa w tym wypadku odległość celu. Do obliczenia tej odległości służą przyrządy, zwane wysokościomierzami. Są one różnych systemów, jak np. dalmierz Barra i Strenda (źle zresztą zastosowany do swego celu). Bardzo dobrym przyrządem jest wysokościomierz U. B. 2., wynaleziony pod koniec wojny. Dla określania odległości zapalnika służy przyrząd, zwany „nastawnicą wysokości zapalnika“. Określanie tych wielkości, przynajmniej dziś, jest rzeczą bardzo trudną.

Wielkie trudności nastęrcza również obliczanie odchylenia pionowego i poziomego płatowca. Znajomość tego odchylenia potrzebna jest nam dlatego, że w czasie, którego pocisk potrzebuje do osiągnięcia punktu rozprysku, a który wynosi średnio 24 sekundy, cel, poruszający się z przeciętną szybkością 160 klm. na godzinę, oddali się od poprzedniego położenia o jakieś 1.100 metrów. Dla obliczenia tych odchyień potrzebne są takie dane, jak czas lotu pocisku, szybkość płatowca, wysokość celu, kąt podniesienia i kąt drogi płatowca, które to dane przy dzisiejszym braku odpowiednich przyrządów są prawie niemożliwe do obliczenia.

(D. n.)

*Kdt. Cieśliński Anatol.*



## ZARYS ROZWOJU RADJOTELEGRAFJI.

Tak późny wynalazek radjotelegrafji można przypisać tylko wogóle późnemu poznaniu elektryczności, bowiem ta niezmiernie ważna dzisiaj dziedzina fizyki była aż do końca XVIII-go stulecia bardzo mało znana. Dopiero w przeszłym stuleciu uczeni: Volta, Faraday, Ampère, Ohm, Oerstedt, Helmholtz, Maxwell i inni, pracami swemi rozszerzyli bardzo nasze wiadomości o energii elektrycznej. Obecnie jest to dział fizyki tak potężny, że wiele zjawisk z innych dziedzin musimy uważać za zjawiska elektryczne i nawet w nich dopatrujemy się rozwiązania problemu budowy materji.

Podwalinami pod dzisiejszą radjokomunikację są już prace uczonego angielskiego Maxwell'a. Mianowicie w 1865 roku wydał on dzieło, w którym dowodzi, że wyładowania elektryczne rozchodzą się w ośrodku nieprzewodzącym, jako fale, które nazwano elektromagnetycznymi.

W roku 1868 próbował uczonego Somrèe przesłać znaki po przez przestrzeń, posługując się prądami indukcyjnymi. Otrzymał rezultat dodatni, ale na bardzo małej odległości.

Dopiero w roku 1888 uczonego niemieckiego Henryk Hertz, zapomocą bardzo prostych przyrządów wykrył istnienie i zbadał własności fal elektromagnetycznych. Obliczył on także prędkość rozchodzenia się tych fal, zaś do wykrycia ich użył Hertz rezonatora elektrycznego, przyrządu mało czułego. Mimo swych doniosłych odkryć Hertz nie wierzył w możliwość radjokomunikacji na dalekie odległości. Ale już w r. 1890, uczonego francuskiego Branly zbudował t. zw. koherer, przyrząd prosty i czuły. Teraz już łatwo było wykrywać fale elektromagnetyczne. Posługując się kohererem i zwykłym piorunochronem, zbudował uczonego rosyjskiego Popow w roku 1895 radjoodbiornik i mógł notować, niezbyt ciekawe wprawdzie wiadomości, bo tylko wyładowania elektryczne.

Taki był stan u radjotelegrafji do roku 1895, czyli do pierwszej pracy Wilhelma Marconi'ego, Włocha z pochodzenia.

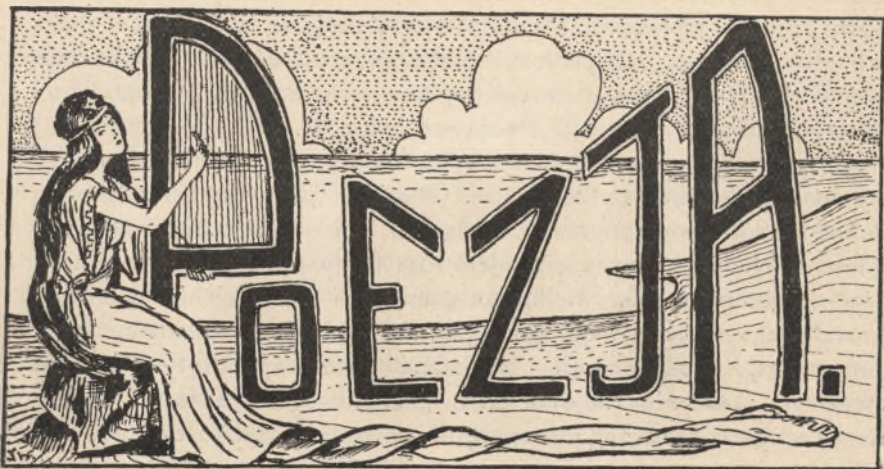
W tym to właśnie roku Marconi, jako student uniwersytetu bolońskiego, z pomocą Righi'ego, rozpoczął pracę nad udoskonaleniem koherera. Udoskonalenie to jednak nie dało pożądanego skutku i dopiero zastosowanie anteny i uziemienia pozwoliło mu sygnalizować na odległość 3 km. Od r. 1897 przenosi Marconi swoje prace do Anglii. Stale udoskonala swój wynalazek i kolejno udaje mu się przysyłać depesze na odległość 20, 50 i 200 km. W roku 1901 buduje wiele stacyj i w tymże roku przesyła depeszę z Poldhu (Anglija) do Nowej-Foundlandji (2.700 km.). W dwa lata później (1903) udaje się mu uzyskać połączenie ponad Atlantykiem. W tym czasie pracuje na tem polu uczony Slaby i jego pomocnik Arco. Tak więc na samym początku XX-go wieku mamy możność radjoporozumienia się na wszelkich odległościach. Jednak komunikacja ta nie jest jeszcze pewna. Szczególnie niedogodny jest odbiór zapomocą aparatu Morsego, gdyż notuje on wszelkie wyładowania atmosferyczne i przez to uniemożliwia prawie odczytywanie depesz. Użycie zaś mikrofonu z telefonem okazało się niemożliwe ponieważ systemy aparatów nadawczych promieniowały fale zanikające (gasnące). Trzeba więc było wynaleźć sposób wysyłania fal niegasnących (ciągłych).

Udało się to Poulsen'owi, który, stosując łuk volty, zbudował wysyłacz łukowy. Pracowali nad tem zagadnieniem także Arco, Marconi i inni.

Lecz największym wynalazkiem, który najbardziej przyczynił się do rozwoju radjotelegrafji, były lampy katodowe zbudowane przez Welmelta. Te zaś dalej udoskonalone przez Szobena i de Foresta (siatka) już jako lampy elektronowe, pozwoliły na nieprawdopodobny wprost rozwój radjotelefonji. Począwszy od roku 1908 (See de Forest) udają się próby radjorozmów, a w roku 1920 można rozmawiać między Berlinem i Moskwą (1.700 km.). Obecnie, jak wszystkim zresztą wiadomo, rozmowa poprzez Antlantyk nie przedstawia żadnych trudności. Jednocześnie z rozwojem rozsyłaczy postępuje rozwój aparatów odbiorczych. Tu wielkie znaczenie ma wynalezienie detektora kryształowego (granu) i następnie zastosowanie lamp elektronowych, które mogą słabą energję, odbieraną przez aparat, tysiącrotnie wzmacniać. Obecnie radjotelefonja, mimo swego prawie już doskonałego stopnia rozwoju, postępuje z zawrotną szybkością naprzód i śmiało można powiedzieć, że to, co dzisiaj jest ostatniem słowem techniki w tej dziedzinie, jutro okaże się przeżytkiem. Przykładem może być nasza stacja transatlantycka, która, mimo krótniego istnienia, nie odpowiada już ostatnim wymaganiom radjotechniki (mała ekonomja). O znaczeniu radjokomunikacji i usługach, jakie nam oddaje, nie będę tu mówił. Wszyscy przecież wiemy, że np. o żegludze, tak

morskiej jak i powietrznej, bez radjokomunikacji nie da się obecnie pomyśleć, a dosyć już będzie, gdy wspomnę, że radjotelefonja umożliwia słuchanie głuchym. Rozpowszechnienie radjotelefonji jest olbrzymie. W państwach zachodnich prawie w każdym domu jest radjoodbiornik, a często także można spotkać amatorską stację nadawczą. U nas zakładanie i utrzymanie stacji radjotelegraficznych i radjotelefonicznych zostało dozwolone z dniem 1 grudnia 1924 roku. (Dz. Ust. Rzplitej Pol. Nr 99 z dn. 10.XI 1924 r.). Dopiero więc od roku zaczyna się rozwijać nasz ruch radioamatorski i jakkolwiek rozwija się dosyć szybko, to jednak nie prędko dorównamy zachodowi. Szczególnie źle przedstawiają się nasze stacje nadawcze, których mamy kilka, a z których tylko warszawska stacja P. T. R. nadaje wiadomości bieżące i produkcje muzyczne i to tylko 2 godziny dziennie (18—20), inne zaś ograniczają się do nadawania depeesz. Prawda, że z utrzymaniem stacji nadawczej związane są duże koszty, ale jeżeli weźmiemy pod uwagę z wielu innych korzyści, jakie nam ta stacja daje, tylko jedną propagandę zagraniczną, to już, moim zdaniem opłaci się utrzymać silną stację nadawczą, bowiem każdy mi przyzna, że nie komu innemu tylko nam, Polsce i Polakom, propaganda zagraniczna najbardziej jest potrzebna. Czas już wielki, abyśmy sami, bez nieproszonego pośrednictwa Żydów i Niemców, dali się poznać zagranicy, jeśli ma ona wiedzieć o nas prawdę.

*Kdt. Mańkowski.*



### ACH! MOJE LATA...

*Ach, moje lata, ach moje motyle!  
Co pyłek wspomnień po drodze strząsacie  
I, odlatując ku marzeń mogile,  
Żal jeno gorzki w sercu zostawiacie.*

Te z niego twórcze zbudowawszy skrzydła,  
 Lecą w krainę dawno zbiegłych marzeń  
 I stroją duszę w łudzące mamidła  
 Przeszłych, złocistych, wiośnianych wydarzeń.

Z tęsknotą idę w przeszłość przekwitniętą,  
 Co mię zapachem swych wspomnień odurza  
 I znów ją widzę, jasną, u śmiechniętą,  
 Wonną, jak świeżo rozwinięta róża...

I znów mi roje motylów płasają,  
 Skąpane w słońca złocistej powodzi,  
 Lecz znów swój pyłek śnieżysty strząsają,  
 A duch mój tęskny w świat żalu odchodzi.

Kdt. Jeszke Jerzy.

### BAŃKI MYDLANE.

Prysnęły bańki mydlane mych marzeń,  
 Co odbijały świat w kolorach tęczy  
 Podmuchał lekkim.

Zwinąwszy jasne, błoniaste skrzydła,  
 Deszczem goryczy upadły na serce  
 Drzemiące w ciszy...

Rwąć uczuć moich pajęczę przedziwo,  
 Tęsknotą ciche operliły serce  
 I legły na dzień...

Kdt. Jeszke Jerzy.

### SŁOWA GRANITOWE.

Z ust skamieniałych padły słowa,  
 Proste i twarde, jak blok stali,  
 Jak trumny wieka tarcz dębowa,  
 Jak piorun, który wszystko pali,  
 Wiekowe słowa w granit klęte,  
 Swjej treści głębią niepojęte...

Z ust boga wojny padło zdanie:  
 Trzeba chcieć żyć i umieć trzeba  
 Umrzeć na losu zawołanie,  
 By duchem czystym dojść do nieba,  
 Trzeba przeznaczeń sięgnąć treści  
 Gdy los nam prawdę swą obwieści...

*Kamieniem słowa w duszę padły  
I choć tak dawno powiedziane,  
W swej pięknej treści nie pobladyły,  
Lecz coraz więcej są świetlane  
Złotemi zgłoski wiek je kuje,  
A sława lotem piór całuje...*

*Kdt. Makowski Eugenjusz.*

### GRAJ MI GRAJKU...

*Graj mi grajku, graj niebożę,  
Grą mi otwórz bramę złud,  
Ja na piersiach głowę złożę  
I ukoję wrażeń głód.*

*Byleś grał mi piosnkę rzewną,  
Piosnkę z przed minionych lat,  
Piosnkę myślom mym pokrewną,  
Byś uczucie w nią swe kładł.*

*Niech z pod strun twych płyną tony  
Dźwięczne, czyste, jako łąka  
I przenikną serc ostony,  
W których smętek łąka.*

*Niechaj piosnka twa kołysze  
I ostadza dolę złą,  
A dusz niechaj martwą ciszę  
Wskrzési życiu, barwą swą.*

*Przez tęczowy most niech wodzi  
Ku krainie złotych mar,  
Kędy dobroć uśmiech rodzi  
I panuje złudzeń czar.*

*Kdt. Klimontowicz Janusz.*

### MRZONKI.

*Gdy znasz ten cichy tęskny zew,  
Ten zew, co w duszy żyje —  
Ten dziwny, niemy w sercu śpiew,  
Co żal i smutki kryje?*

*Ta pieśń bez słów — tęsknota ma  
Za słońcem, pięknem, prawdą —  
Za wszystkim tem, co wieczność da,  
A czego niema w życiu.*

*Dlatego w mojem sercu żal,  
Że nic nie znajdę z tego  
Wśród świetnych zdala życia fal,  
Com marzył — śnił w ukryciu.*

*A jednak trzeba w życie iść  
Po nędzę wegetacji,  
Czy po lauru cudny liść —  
Iść w życie trzeba śmiało!*

*Ach, żebyż siły tyle mieć —  
I umieć wytrwać w czynie,  
By wszystko — wszystko móc, co chceć  
I duchem rządzić ciało.*

*Ach wtedyby tęsknoty sny  
Ziściły się na jawie,  
I ciche łzy — młodzieńcze łzy  
Nie tkąłyby o stawie!*

*Kdt. A. B.*

## MANJA PISANIA

(HUMORESKA).

Jestem człowiekiem nowożytnym i dlatego płynę z prądem czasu. Wprowadzają telefon—używam go, wynajdują radjo—oglądam je na wystawach, jednym słowem jestem postępowy. To też, gdy „Kadet” ogłosił konkurs na nowelę i ujrzałem dużą ilość piszących, zabrałem się i ja do dzieła. Więc...?

Ale co opisywać? Najlepiej wojnę..., mąż lub narzeczony ginie... E, nie! to zanadto banalne. Decyduję się już na przygody. „W ruinach straszy, niedaleko karczma. Pewnego dnia przychodzi jakiś śmiałek i decyduje się przespać jedną noc. Karczmarz odwodzi go od tego zamiaru, lecz ten nie ustępuje, bierze na kredyt chleb, kiełbasę, jakiś romans, klucze... i idzie”. Lecz tu opadają mię wątpliwości. Dlaczego idzie z romansem, a nie z powieścią kryminalną? Nie mogę się zdecydować; długo myślę, rozważam. Nie! stanowczo nie wiem. Jestem zabobonny, spróbuję. Wystawiam palce wskazujące i kręcę rękoma. Jeżeli palec trafi w palec—to romans; jeżeli nie—to powieść.

Byłem tak zajęty tą czynnością, że nie spostrzegłem kolegi, siedzącego przy mnie i dopiero mocne uderzenie każe mi zwrócić uwagę na niego. Każdy może sobie wyobrazić, co to znaczy przerwać literatowi tworzenie. Kipiałem cały. A ten z niewinną miną mówi „Zygmusiu! Powiedz, co mam napisać? Czy tego powstańca mają kozacy złapać, czy nie?”... Dobrze, że mam nerwy, jak postronki, bo inaczej rzuciłbym się na niego. Ha!.. ale przynajmniej zemszczę się! Zaczynam mu z milutkim uśmiechem tłumaczyć, że żaden pisarz tak poprostu nie rozwiązuje sytuacji, musi być zawsze pewna komplikacja. Najlepiej będzie, gdy powstaniec potknie się i upadnie pod jakimś dębem, można wtedy wtrącić jakiś więcej liryczny kawałek; np. „liście zaszeleszczą ponuro i drzewo głucho zajęczy nad dolą bohatera“. Nie poprzestał na tych wyjaśnieniach, chciał jeszcze wiedzieć, gdzie bohater ma upaść, czy przed rzeką, czy po drugiej stronie rzeki. Oczywiście doradzam mu stanowczo zrobić to jeszcze po tej stronie, bo gdyby przebrnął przez wodę, to chodzenie w mokrem ubraniu mogłoby go przyprawić o katar. Zadovolony odchodzi, lecz cóż ja mam robić?!.. Już wążek myśli zerwał się. Tego już stanowczo dość, będę znowu zmuszony przez kilka godzin obgryzać paznokcie, nim spłynie na mnie natchnienie. Ze złością przekreślam wszystko, napiszę coś zupełnie nowego...

Hm???!.. Ale co!?? Aha! już wiem! „Młodzieniec, ogromnie zakochany, prosi o rękę ubóstwianej, lecz gdy mu odmówiono, sięga po brauning i... ginie“. Trzeba tylko odpowiednio napisać, to będzie bardzo dobre. Po półgodzinnem siedzeniu zaczynam: „Magda była bardzo ładna, włosy miała blond“. Ale znowu trudności! Jaką miała fryzurę, czy „à la garçonne“, czy „na polkę“, czy wreszcie nosiła warkocze? Nie chcę sam decydować, więc idę do jednego z kolegów, przerywam mu pisanie noweli i pytam, jaka fryzura jest najmodniejsza. Pocziwy chłopak, chcąc mi rzeczywiście dopomóc, rozmyśla pół godziny, wreszcie mówi: „Ja myślę... na jeża“. Sam był winien, że dostał pięścią w ciemię.

Wobec takiego wypadku jasną jest rzeczą, że pisać dalej nie mogłem. Na szczęście trzeba było już iść na obiad; odrazu zrozumiałem, że przecież na czczo żaden z pisarzy większego dzieła nie stworzył. Pocieszałem się tą myślą, że po obiedzie napiszę arcydzieło.

Nie będę opisywał obiadu, bo przecież każdy kadet wie, że tego dnia była zupa, ale jaka? Dość, że była biała, a po wierzchu pływały grzanki, jak wieloryby. Drugie danie — gulasz wyśmienity, na którym kadeci niestety nie mogą się poznać i przyrównują do najgorszych trucizn. Do trzeciego to już chyba nikt z nas nie ma pretensyj: kasza jaglana na słodko była przewyborna!



Po tak znakomitym obiedzie siadam znowu na ławce, by zacząć nowe arcydzieło. Siedzę, siedzę, myślę i myślę, a tu nic kompletnie nic!

W tej właśnie chwili opatrność zesłała mi kolegę, który nie wiedząc o moich zamiarach, opowiada, że kupił los i wygra w kantine kadeckiej na pewno rower. Dziwię się tej pewności, lecz on twierdzi, że wygra i to dlatego, że numer losu jest 93, w domu mieszka pod 93 i że ci, którzy dożyją 93 lat, są starzy, a wreszcie dlatego, że dotąd jeszcze nic w życiu nie wygrał. Gdy mi to opowiadał, nagle zrozumiałem, że ja tylko tragedje mogę pisać. Sam się dziwię, że dotąd nie zwróciłem na to uwagi, ja, który zaraz po urodzeniu zacząłem płakać. Przecież lepszego dramaturga nie trzeba szukać! Wśród tych rozmyślań zrobiłem pewnie jakąś tragiczną minę, bo kolega ze zdziwieniem zapytał, czy nie mam bóleści. Byłem zadowolony, bo przecież przy pisaniu tragedji nie można się śmiać.

Grobowo nastrojony zabieram się do pisania: „Z pewnym chłopczykiem nie mogą sobie dać rady rodzice, więc po ciężkich tarapatach, zgnębieni, postanawiają oddać go do Korpusu”. Nie wiem tylko czy oddanie do szkoły jest tragedją. Może lepiej napisać jakiś dramat, mógłby być w trzech odsłonach, a w każdej z tych po 5 trupów, ale nie dość na tem: z tych pięciu, dwóch będzie uduszonych, jeden powieszony, a reszta zastrzelona.

Nie, jednak nie mogę, to będzie za tragiczne, widocznie nasz obiad tak mię krwiożerczo usposobił. Wracam do chłopca. „Więc dostał się do korpusu. Tu odrazu zrobili z niego porządnego człowieka Zachęcony kilkoma stójkami robił wszystko przykładnie. Jednak natura ciągnie wilka do lasu, tak się też z nim stało. Po kilku dniach spokojnego bytowania zaczął brykać. Lecz mają na to sposoby. Dowódca kompanji kilka razy na tydzień przy raporcie karnym wspominał mu o rozkoszach przepustki, wyznaczając przytem karę na święto. Co niedzielę upiększał kadet swoją postacią fasadę korpusu. Długo „męczył się” nasz biedak aż pewnego razu ukarany za „nadmierną” gorliwość w uczęszczaniu na ćwiczenia, postanowił się utopić. Tu już łez nie mogę powstrzymać, żałuję go bardzo, ale trudno musi zginąć. Z równym skutkiem mógłbym go rzucić pod tramwaj, ale to nie poetycznie, więc muszę go w dalszym ciągu topić. „Pewnego popołudnia idzie nieszczęsny na brzeg rzeki, rozbiera się, ubranie i bieliznę składa w kostkę według regulaminu (co znaczy przyzwyczajenie!). Następnie kładzie na kostce list tej treści: „Kochani Rodzice!! W korpusie nie poznali się na mnie. Topię się. Genjusz ginie!” Po napisaniu tych słów liczy do trzech i...” Tu muszę odłożyć pióro, bo to naprawdę przechodzi moje siły. Mam czułe serce i tak mi go żal! Długo myślę, wreszcie, decyduje się, biorę pióro i... i... i na szczęście dzwonek oznajmia

koniec silentium. Muszę odłożyć tę dramatyczną historję na jutro, bo kolacja ważniejsza. Bohater niech poczeka tymczasem nad wodą, a jeśli zmarznie przez noc, może mu się odechce topienia i będę mógł przerobić dramat na komedję.

*Kdt. Zygmunt Wróblewski.*

## LEŚNICZY KNORR.

(NOWELA).

Las stał cichy milczący; drzewa splecione konarami skamieniały w ponurem wiecznym dumaniu, jak olbrzymy z baśni. Wąska droda leśna wijąca się pomiędzy gęstemi ścianami boru, jak wąż ginęła gdzieś w mrokach. Mżył drobny deszcz. A nad tem wszystkim unosiło się ponure niebo jesienne, ciężkie okryte ołowianemi chmurami. Nic nie przerywało tej monotanji: ani srebrzysta poświata miesiąca, ani wesołe mruganie miriadów gwiazd. Deszcz mżył i mżył, a las wołyński dumiał o swej przeszłości.

Tą drogą właśnie człapały konno dwie zakaptuorzne postacie; konie z widocznym wysiłkiem wyciągały nogi z lepkiej mazi błota, ślizgając się przytem i chlupiąc głośno w bajorach wody. Jeźdźcy otuleni po uszy zdali się zupełnie na instykt koni, powierzając im swoje bezpieczeństwo. Nagle jeden z koni potknął się, o mało nie zwaliwszy jeźdźca z siebie. „O psia!” syknął głos z pod burki — „z utrapionemi drogami i błotem”.

„No i czyja to wina, jak nie wujka. Wujku!” odpowiedziało mu niewyraźne mruczenie — „zabrał się wujek do mnie, jak do panny na wydaniu, ubzdurzyło się coś wozic mię po sąsiedztwie, z domu, do domu. Ot! i dzisiaj! po kiego licha! trzeba nam siedzieć u Wierzyckich, rozumiem, kolacyjka, tańce, ale nie każdy dzień. Tłuczemy się jak opętańcy po lesie. Stosowna pora! Niema co! Mój gniady ledwie nogami powłóczy”.

Głos pełen był złośliwej determinacji, którą może mieć człowiek, blakający się po bezludnych rozdrożach, z nikłą nadzieją dostania się dzisiaj pod dach. Gniewne sapanie było mu odpowiedzią. Wkońcu zachrypnięty głos się odezwał „cóż dziwnego mój drogi, że cię wożę; ciebie nigdy z domu nie można wyciągnąć, mój drogi. Jechaliśmy, pogoda nieźle się zapowiadała; przecież nawet Gryhor mówił, mój drogi. No, a teraz leje, jakby kto wór rozwiązał. Wybacz, siedziałbyś znowu z temi rachunkami. Ej człowieku! roboty do grobowej deski nie przerobisz, bierz ze mnie przykład. Dobrze, już dobrze, ja winien, mój drogi. Jakoś dojedziemy, bądź dobrej

myśli". Na chwilę zapadło milczenie. Rotmistrz Woroniecki oddał się swoim niewesołym dumom. Bo i cóż za nim? bujna młodość, hulaszcze, bezstroskie życie; no bo cóż mogło obchodzić go, rosyjskiego „praporszczyka”. Zmieniło się, jak sen! „Swoboda” szeroka, rosyjska, zbryzgana krwią swoich ofiar, a wdeptana w błoto kutem i „sapogami” czerni rosyjsko-tatarskiej. Potem Polski I korpus i krwią splamione szańce Bobrujska i całej Ukrainy, 1920-ty rok,—rany, a za to krzyż na czarno-niebieskiej wstążeczce! Westchnął głośno. Przemknęło, przeszło bezpowrotnie. Ożenił się, a teraz przyjechał, korzystając z urlopu, administrować majątkami żony. Majątki! zaśmiał się, gorzko, raczej kupa gruzów i wielka połać nieużytków. Oddał się zupełnie do dyspozycji wuja żony, dobrodusznego p. Kaliksta Iwena, a ten z isticie kresową gościnnością i rubaszością podejmował go i obwoził w sąsiedztwie. I teraz też wracali z podobnie miłych odwiedzin. Ale pogoda nie dopisała i oto wloką się już bezskutecznie parę godzin. Pan Kalikst poruszył się nerwowo na siodle — „Bolku! nie masz tam czasami papierosa?”

— „I owszem!”

Zatrzymali na chwilę konie, przy nikłym świetle papierosa rotmistrz spojrzął na zegarek. „Pierwsza po północy. Hm! trochę zapóźno”. Obejrzał się dookoła.

— Ten las zdaje mi się należy do dóbr wujka? te miejsca są mi znajome! Ot! naprzykład ten wykrót, gdzie nam w piątek oś pękła. Dalibóg! to las wujka.

— A możliwe, możliwe, mój drogi, własnej ziemi nie poznałem, to osioł ze mnie! Ale nie taki znowu, jak mnie się zdaje, mam świetną myśl; poco mamy jechać do Suszek, kto wie, czy dzisiaj do nich dobrniemy, konie ledwo idą. A tu z drogi trochę w bok,— może ze dwie wiorsty będzie,—mieszka ten, mój drogi... no jakże go... no, a prawda Knorr, poczciwe Niemczykso. Zajedziemy do niego, a prawda, ty nie wiesz, kto to taki! z miłą przyjemnością opowiem ci o nim. Pewnego razu, może będzie dwa miesiące temu, zjawił się jakiś oberwaniec, mój drogi. Nie chciałem z nim gadać. Włóczęga jakiś. Ale prosił, skomlił, jak pies, o jakiś ką. Okazało się iż jest, a właściwie był porucznikiem austriackich honwedów, wzięty do niewoli w 16 roku, przetrwał rosyjskie zamieszki rewolucyjne, był w czeskich legionach, mój drogi, na Syberji. Opowiadał wstrząsające tragedje z tego syberyjskiego piekła, mój drogi. Widział śmierć Kołczaka! Ale jak, to nie wiem. Zresztą umie bujać. Opowiadał o tem, jakby naprawdę był świadkiem tego krwawego dramatu. Pokazał papiery, mój drogi, w porządku, to jest niby zgadzają się z jego opowiadaniem. Przed wojną był w Budapeszcie, ukończył tam

szkołę leśną. Prosił, żeby trochę mógł sobie grosza zarobić, to ruszy dalej. Zatrzymałem go, wsadziłem do gajówki po tym starym Pawle, co to go bandyci zabili zeszłej zimy. Gospodaruje tam dobrze, mój drogi. Niby wszystko. A prawda, ma brata, Rodbaja, który był z nim razem w austriackim wojsku. Byli razem na Syberji mój drogi, w niewoli, ale gdzieś tam na Uralu Rodbaj został ciężko kontuzjowany, od tego czasu ogłuchł i zaniemówił, mój drogi. Ale jeszcze chłop nie ułomek chociaż głuchoniemy, mój drogi. On mu teraz pomaga we wszystkim.

— A więc jedźmy, — odsapnął. Woroniecki nie odpowiadał. Przejeżdżali przez mały mostek, który chwiał się, jak rozklekotana klawiatura fortepianu. Pod nim rwał, pieniać się, wzburzony potok, wezbrany od roztopów jesiennych. Konie, strzygąc uszami, wolno wstępowały, na oślizgłe bale. Nagle z przydrożnej sosny rozległ się głośny chichot, który w tem ponurem otoczeniu wydał się głosem szatana. Dreszcz przeszedł do szpiku kości, koń rotmistrza szarpnął się w bok i ślizgając się, spadł z mostu, pociągając za sobą jeźdźca. Przez chwilę tylko słysząc było chlupotanie w błocie. Pan Iwen zamienił się w słup soli. Kłął tylko. Woroniecki wygramolił się z nieprzyjemnej kąpieli. Wyciągnęli konia. Poprawili ubłocone siodło i rzemienie.

— No wujku! po takiej kąpieli, rad nie rad będę musiał wstąpić do tego gajowego. A do kroćset! ze wszystkim razem — otrząsał się z błota. — Chociaż prawdę powiem, mnie ten protegowany węgier czy szwab wujka nie podoba się. Mało się włóczy nad granicą różnych draniów, komunistów... a bandy dywersyjne? Może to ich szpieg? Przecież niedawno był napad na Berezno! Brr! zimno, musimy jechać prędzej, czuję jak mi woda w butach chlupie. Miłe stosunczki kresowe, jak się patrzy! — Zachichotał znowu puszczyk, przelatujący nad ich głowami i zniknął w ciemnościach nocy. Zboczyli raptownie w wąską drożynę na prawo; droga była lepsza. Zacięli konie. — Zamajaczyły niewyraźne sylwety jakiejś budowy, przez rozwalone wrota wjechali do środka obejścia. O dziwo! w jednej z okien chaty błyskało światło. — O skurczybyki! syknął p. Iwen — do dworu po naftę jeżdżą często, a tu palą bez miłosierdzia. Natrę uszu! — I postępując, zaczęł zsiadać z konia.

Woroniec zaciekawiony, w jednym susie był przy oknie, wspiął się na palce i zajrzał. Dziwne! mruknął, — pokój oświetlały szczapy palące się na wielkiej grubie. Stół gęsto zastawiony butelkami i resztkami przekąsek, wyglądał, jak pole bitwy po skończonej batalji. — Suta libacja! — Na środku pokoju stał człowiek atletycznej budowy, o twarzy ponurej i dzikiej. Był to Knorr. Naprzeciw siedział niemy Rodbaj, żywo gestykulując i opowiadając coś! No tego, to za dużo, niemi

gadają? Noc ta obfituje w nadzwyczajne niespodzianki. Zaaferowany, trącił niechcący okiennicę, która upadła z głośnym trzaskiem; odsadził jednym skokiem i biegł do koni, zawadzając po drodze o jakieś przedmioty. Skrzypnęły drzwi. — Kto do stu piorunów włóczy się, bo strzele! odpowiadaj! — zabrzmiał zachrypnięty głos, dalej następowało mocne, kilkupiętrowe rosyjskie słówko. Trzask repetowanego karabinu. — Stój pan! panie Knorr, mój drogi, tak to gości przyjmujesz? Niema co!

— A, pan grafi! padam do nóg, przepraszam za takie przyjęcie, ale teraz rozmaici ludzie się włóczą. Wprowadził ich do pokoju, skinął na niemego. Ten zajął się uprzątnięciem resztek libacji, potem wyszedł do koni.. To właśnie—zaczął Knorr—tylko co wróciłem z Kostrpola; byłem w sądzie w sprawie tych chłopów, co rąbali sosny w Chołodnym Jarze, teraz się trochę rozgrzałem i przekąsiłem.

— O takich, to lubię, mój drogi, pan jesteś byczy chłop, chociaż szwab, — rzekł p. Iwen.

— Może pan grafi pozwoli przekąsić?

— Nie, wracamy z kolacji, a co ty na to Bolku?

— Potwierdzam w zupełności zdanie wujka.

— No, to może buty i mundur zdejmiesz, osuszysz się trochę, mój drogi?

— Ależ nie, wyschnie to na mnie... Woroniecki zauważył dziwny grymas porozumiewawczy niemego i Knorra.

— No, ten drab mi się nie podoba—pomyślał. Takie typy spotykało się na Sachalinie. Apartamenta — nieszczególnie, raczej zbójcka nora. Instyktownie zmacał kolbę browninga. Uszy do góry Bolku! co będzie to będzie — pocieszał siebie. Przynął krzesło do grubo, usiadł, oparłszy się plecami i rozmyślał. Tymczasem p. Iwen był w swoim żywiole, klepał protekcyjnie Knorra po ramieniu, słuchając opowiadania o zajściu w sądzie. Wkońcu przynął się bliżej rotmistrza. W tej chwili wszedł do chaty Rodbaj i z głupkowatą miną stanął za krzesłem Woronieckiego.—Ten obejrzał się. No i czego ta głupia pała sterczy tutaj, pomyślał. Knorr tymczasem stał założywszy ręce na piersiach, widać było, iż szuka nowego tematu rozmowy. — Pan grafi nie może nawet sobie wyobrazić, w naszym lesie są niedźwiedzie!

— Co, niedźwiedź, mój drogi?

— A tak! dzisiaj rano jechałem lasem, nagle koło trzeciego szlabanu, co to stoi przy kostopolskiej szosie, koń mi zaczął chrapać i uszy tulić. Durak! mówię, nahajką go! a on nic, swoje! Patrzą, o jakie dziesięć kroków niedźwiedzica z małemi. (D. n.).

Kdt. H. Zarudzki.

## KRZYŻÓWKA.



### Pionowe.

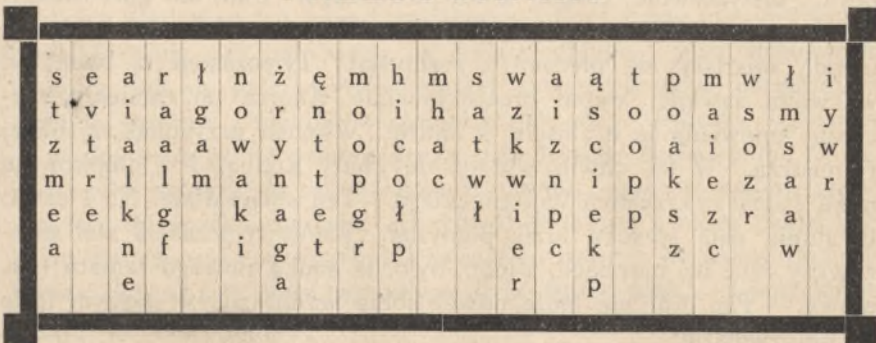
1. Historyk grecki.
6. Człowiek ze szczepu germańskiego.
7. Rodzaj laku
9. Zabawa.
10. Niewiadoma.
11. Ruda żelaza.
12. Nasyp.
13. Jeden z bohaterów Iliady.
15. Rzemieślnik.
17. Powieść B. Prusa.
20. Mieszkaniec Małej Azji.
21. Okrycie.

### Poziome.

1. Pisarz francuski z XVIII w.
2. Legenda.
3. Syn Noego.
4. Część uczesania.
5. Ptak.
8. Pomieszczenie owadów błonko-skrzydłych.
14. Starogrecki pieniądz.
16. Imię żeńskie.
18. Załedwie.
19. Okręt Noego.
20. Zaimek.
22. Schowanie dla papierów.
23. Okres czasu.
24. Podróż powietrzna.
25. Cierpienie.

*Ułożył kdt. Kiwerski.*

## PRZESUWANKA.



*Ułożył kdt. A. Szugajew.*

W każdej kolumnie, przesuwając litery należy ułożyć tytuły utworów następujących autorów:

- 1) Fredry, 2) Mniszchówny, 3) Prusa, 4) Tetmajera, 5) Gawalewicz, 6) Germana, 7) Mickiewicza, 8) Daniłowskiego, 9) Zoli, 10) Reymonta, 11) Orzeszkowej, 12) Kraszewskiego, 13) Londona, 14) Mniszchówny, 15) Molièr'a, 16) Sienkiewicza, 17) Lenartowicza, 18) Żeromskiego, 19) Rodziewiczówny, 20) Korzeniowskiego, 21) Sienkiewicza. Czwarły rząd poziomy utworzy imię, nazwisko i tytuł dzieła znanego powieściopisarza polskiego.

Termin nadsyłania rozwiązań do 25 marca. Nagroda: książki drogą losowania.

## SZARADA.

No, zgadnijcie przyjaciele,  
 Myśleć tu nie trzeba wiele,  
*Pierwsze — trzecie*, pewno wiecie,  
 Bo jest znane w całym świecie,  
 Gdyż porusza nam powozy.  
 Samo *trzecie*, gdy są mrozy,  
 Służy do saneczkowania.  
*Drugie* wspan, bez rozmyślania  
 „Po niemiecku” każdy powie  
 „Jest przyimkiem”. Całość w mowie  
 Polskiej dziwnie trochę brzmiąca,  
 Ale zato kraj broniąca.

Kdt. Więckowski.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

*Kadetowi 1 komp. J. G.*

Łamigłównki chwilowo nie zamieścimy, możliwie, że w późniejszym numerze.

*Kadetowi Zbigniewowi P.*

Słaby temat i rozwinięcie. Nie zamieścimy. Oczekujemy lepszych.

*Kadetowi 1 komp. O. C.*

Nowelki, nie zamieścimy, jednak prosimy o dalszą pracę, która napewno będzie więcej owocna. Nie wątpimy, że kolega nie weźmie bardzo do serca chwilowego niepowodzenia i zasyłamy szczęść Boże!

*Kadetowi 1 komp. R. J.*

Za słaby — nie nadaje się.

*Kadetowi 2 komp. D. F.*

Redakcja „zdeptana po głowie i twarzy”, artykuł ten nieco zamądry, a życie badający, odrzuciła. Powody odrzucenia: 1) Autor nie zna gramatyki i ortografji. 2) Styl jest straszny! 3) Zwroty w rodzaju takich jak: „W sercu jego niema litości i miłości bliźniego oprócz wiary”. „Depce on z całą brutalnością bliźnich po głowie i twarzy”. „Chwyta za browning i ginie”. i t. d. i t. p.

W materjale, jaki kolega zgromadził brakowało dwóch zasadniczych książek, a mianowicie: „gramatyki” i „pisowni polskiej”. Radzi-libyśmy je dokładnie przestudjować.

*Kadetowi 3 komp. R. H.*

Redakcja krzyżówki nie zamieści—za słaba.

*Kadetowi 3 komp. S. Sz.*

Rebusa nie zamieścimy, radzimy go przesłać redakcji jakiegokolwiek pisemka dla dzieci. Drugi rebus wart pierwszego.

## OD REDAKCJI.

Redakcja prosi ogół piszących o pisanie atramentem, wyraźnie i tylko na jednej stronie arkusza. Egypologa do odcyfrowania hieroglifów nie posiadamy, a wskutek tego artykuł, nawet bardzo dobry, może się znaleźć w koszu.